NUMER 49. DNIA 3. GRUDNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

„LEGENDA O SOBIESKIM“.

Niemcy wiedeńscy coraz częściej i coraz natarczywiej rzucają się na wiekopomny, choć tak niepraktyczny czyn odsieczy wiedeńskiej przez Jana Sobieskiego. Przy każdej sposobności starają się umniejszyć zasługę bohaterskiego króla, naprzykład na pomniku w katedrze św. Szczepana, a teraz wobec wmurowania tablicy pamiątkowej w kościele na Kahlenbergu i kwestji nabycia tegoż kościoła przez wiedeńską kolonję polską, podniosły się głosy niemieckie o „Sobieski-Legende“, głosy, które wprost, kategorycznie i bezczelnie zaprzeczają jakiejkolwiek zasłudze pogromcy półksiężyca. Nawet wojskowi w pismach fachowych niemieckich starali się rozwiać „legendę o Sobieskim“ a ostatnio kapitan archiwum wojny Beltze, w wiedeńskiej „Armee Zeitung“ do tego stopnia począł rozwiewać „legendę“, że omal nie zakwestjonował faktu, czy w ogóle Sobieski był pod Wiedniem.

To też pocieszającem jest bardzo, że oficerowie armji austrjackiej, Polacy, poczuli się do obowiązku zaprotestować przeciwko takiemu fałszowaniu historji. W ostatnim (46) numerze tejże „Armee Zeitung“ znajdujemy bardzo dobrze napisany artykuł c. i k. rotmistrza 1. pułku ułanów, stacjonowanego we Lwowie, p. Władysława Jagielskiego, w którym ściśle ze stanowiska fachowego, wojskowego, rozpatruje odsiecz wiedeńską w r. 1683 na podstawie źródeł niemieckich i polskich, oraz opracowań, zwłaszcza K. Górskiego i dochodzi do zgoła odmiennych rezultatów, aniżeli jego kolega.

Zarzuty kapitana archiwum wojny poszły w tym kierunku, że wojska polskie stanowiły tylko trzecią część armji chrześcjańskiej, naczelne dowództwo Sobieskiego było tylko nominalne, a wodzowie austrjaccy mają właśnie pełny tytuł do tej chwały, która „fałszywie“ Sobieskiemu została przypisaną. Pomoc polska nie zdziałała nic szczególnego, a zresztą została dostatecznie „zapłacona“ i łupami tureckimi wynagrodzona.

Rotmistrz Jagielski konstatuje przedewszystkiem, że bitwa z 12. września 1683 pod Wiedniem, była kulminacyjnym punktem ofenzywy tureckiej, która groziła zalewem całej Europie. Zwycięzcy pod Wiedniem należy się przeto pełny tytuł pogromcy półksiężyca. A teraz, co było by się stało, gdyby Sobieski się spóźnił, albo podobnie jak Brandenburczycy, wcale się nie pokazał pod Wiedniem? Źródła niemieckie wskazują, że obrona Wiednia natężyła już siły swe do ostateczności a książę Lotaryngski nie odważyłby się nawet ze swojem 50.000 wojskiem uderzyć na 150.000 Turków.

Że Sobieski przyszedł na czas, to nie był żaden przypadek. Zanadto bowiem wiele walk stoczył z Turkami i zanadto owładnięty był myślą zniszczenia potęgi tureckiej, ażeby się miał spaźniać.

W dalszym ciągu rozpatruje p. Jagielski jakość liczebną i wojenną wojsk cesarskich i tych, które przyprowadził Jan III. Na podstawie cyfrowych wywodów i źródeł historycznych okazuje się, że armja Sobieskiego wyćwiczona w ustawicznych bojach z Turkami, przewyższała o całe niebo armję austrjacką, a już przynajmniej stała na równi z najlepszymi pułkami austrjackimi, których znowu tak bardzo wiele nie było.

Teraz co do naczelnego dowództwa. Z osobistości, działających wówczas pod Wiedniem, dwie tylko były powołane do dowództwa naczelnego: Książę Karol Lotaryngski i król Jan Sobieski. Ponieważ jednak ks. Karol dotychczas nie walczył nigdy z Turkami, więc też faktycznie dowództwo spoczęło w doświadczonych rękach Sobieskiego, podczas gdy nominalne dowództwo oddał mu już przedtem cesarz Leopold nad całem wojskiem.

Sobieski też faktycznie wykonywał dowództwo przez cały ciąg bitwy, co też rotmistrz Jagielski wykazuje dowodnie, na podstawie „Ordre de bataille", spisanego własnoręcznie przez Jana III., przedsięwziętych przez niego zmian w ustawieniu całej siły zbrojnej i wreszcie na podstawie całego przebiegu bitwy.

Sobieski był przez cały dzień czynny, najpierw na Kahlenbergu, skąd dysponował atakiem lewego skrzydła i rezerwami ks. Lotaryngskiego, potem osobiście przewodził prawem skrzydłem, które od godziny 1. w południe aż do końca bitwy walczyło z całą siłą turecką i walkę stanowczo rozstrzygnęło. Sobieski był więc właściwym zwycięzcą, a to przekonanie podzielały bezpośrednio po bitwie wszystkie wojska.

Nakoniec rozpatruje p. Jagielski kwestję „zapłaty", która była zawarowaną w kontrakcie przymierza i kwestję łupów, które się wojsku polskiemu słusznie należały, gdyż ono pierwsze wpadło do obozu tureckiego. Łupów tych zresztą nie trzymał Sobieski wyłącznie dla siebie, ale obdzielał nimi hojnie generałów austrjackich, szczodrobliwość zaś jego podobała się Niemcom do tego stopnia, że jeździe polskiej... zabierali nawet konie z paszy... na pamiątkę.

Ściśle rzeczowy i fachowy artykuł p. Jagielskiego, pomieszczony w piśmie wojskowem, może przyczyni się nieco do ostudzenia gorączki niemieckiej, chętnej tak bardzo do rozwiewania „legendy" a utwierdzania słynnej „wdzięczności" austrjackiej.

Szkoła podchorążych piechoty, a wybuch rewolucji

29. listopada 1830.

(Ciąg dalszy.)

Między związkowymi więc brak wciąż jest jednomyślności i co do czasu i co do sposobu działania — a wobec tego każdy plan upada.

Dlatego koronacja odbyła się bez jakichkolwiek przeszkód, według z góry ułożonego programu, 20-go maja — Mikołaj koronował się sam, rosyjską koroną — na polskiego króla.

Według planu związkowych jednakże, uroczystość ta miała mieć zupełnie inny przebieg, przebieg nawet krwawy.

Już projekt Zwierkowskiego groził na wypadek odmownej odpowiedzi na ich petycję i uwięzienia deputacji, buntem wojska i odbiciem więźniów.

A daleko płodniejszym w następstwa miał być plan drugi — noszący nazwę — spisku koronacyjnego.

Tu przedewszystkiem zachodzi pytanie, czy taki spisek istniał rzeczywiście, czy też został później sfingowanym przez Gurowskiego, bo główny przeciwnik tego spisku Barzykowski przeczy jego istnieniu, przyjmując za jedyne źródło A. Gurowskiego, od którego czerpali potem inni, jak Straszewicz, Spatzier, Mochnacki, i podnosząc pominięcie tego faktu przez Wysockiego.

Otóż trzeba stwierdzić, że nie tylko Gurowski o tem pisał, lecz i inni, jużto bezpośrednio działacze jak n. p. Al. Łaski, który dowodził w czasie koronacji szkołą i miał dać hasło do wykonania, jużto ludzie zajmujący wysokie stanowiska jak Niemcewicz, w swym pamiętniku i ks. A. Czartoryski w Żywocie poprzedniego, których ani o jakąś złą wolę, ani też o mylne informacje posądzić nie można. Czartoryski twierdzi nawet, że moment ten był daleko lepiej wybranym, aniżeli koniec roku następnego. O tym spisku wspomina również i ojciec Gustawa Małachowskiego, Stanisław, w swym pamiętniku.

Co do wprowadzenia w czyn tego bądź co bądź nader śmiałego planu, mamy kilka relacji w szczegółach drobnych, wprawdzie się różniących, ogólny jednak plan przedstawiających jednakowo. Otóż miano wymordować całą carską rodzinę przybyłą na koronację, najpierw w czasie rewji na Saskim placu, a gdy to się nie udało, chciano to samo zrobić w czasie uczty ludu w altanie cesarskiej między Ujazdowem a Łazienkami.

Z tego nic nie przyszło do skutku. Plan pozostał tylko niczem nie popartem twierdzeniem kilku czy też kilkunastu ludzi młodych i dlatego to prawdopodobnie, w głowach poważnie myślących, a takiej myśli zasadniczo przeciwnych (Barzykowski należał do stronnictwa legalnej opozycji

zamiar ten nie mógł się wprost pomieścić i wydał się prostą plotką.

Wysocki zaś, pisząc o samych rzeczach dokonanych, nie chciał zdaje się pisać o zamiarach pozostających tylko zamiarami i plan ten pominął tembardziej, że nie chciał ściągać na głowy projektodawców możliwego carskiego gniewu *).

Dopóki jednak nie będzie odkrytym jakiś dokument, stwierdzający czy też zaprzeczający istnienie spisku, tak długo nie można tej rzeczy stanowczo rozstrzygać, z tego zaś, jak ona się nam dziś przedstawia i stosownie do tego, kto o tem mówi (za spiskiem mówią Niemcewicz, Czartoryski, Sołtyk, Łaski, Mochnacki, Gurowski, St. Małachowski i Dr. Łukaszewski, powtarzając opowiadania K. Paszkiewicza, przeciw są tylko Barzykowski i p. Ht.) racja zdaje się leży po stronie istnienia spisku.

Koronacja więc odbyła się bez żadnego przypadku, na wyjezdnem wręczyli posłowie partji kaliskiej ministrowi sekretarzowi stanu, petycję, domagającą się cofnięcia artykułu dodatkowego i powtórnego utworzenia rady wojewódzkiej tegoż województwa.

Rok 29. minął bez ważniejszego zdarzenia, dla związkowych, zajętych pracą przygotowawczą.

*) P. Ht. w swej recenzji książki Ofmańskiego pt.: „Królestwo kongresowe“ (Kwartalnik hist. t. XI. st. 868) — nazywa spisek ten plotką — w której niema słowa prawdy, a opiera swe twierdzenie na jakichś urzędowych dokumentach. Lecz z treści, którą p. Ht. z tych dokumentów podaje, można dojść do wprost przeciwnego p. Ht. wniosku, a mianowicie, że istniał także choć bardzo fantastyczny jeszcze jeden plan takiego spisku. — Na to naprowadzają choćby nazwiska wymienionych przez p. Ht. spiskowców, jak Smagłowski itp, takich bowiem nie spotykamy wśród organizacji podchorążych, a więc musieli tworzyć jakieś osobne kółko i nic z tamtymi wspólnego nie mieli, a że potem tego się wyparli, to jeszcze nie racja, by także i do podchorążych zastosować tę samą zasadę.

Mikołaj, wyjeżdzając, obiecał zwołać na styczeń 1830 sejm, co rzeczywiście nastąpiło z małem opóźnieniem, bo pierwsze zebranie odbyło się 23. maja 1830.

O ile przebieg jego był spokojnym, o tyle całe niezadowolenie objawiło się w czasie obrad poszczególnych komisji w krytyce rządu i stawianiu rozmaitych żądań, jak np. wydanie Łukasińskiego— naturalnie napróżno.

W końcu czerwca sejm się skończył, a wojsko, jak co roku, udało się do letniego obozu na Powąskach na trzymiesięczne ćwiczenia.

To nagromadzenie w większej ilości wojska w jedno miejsce, dopomogło wiele krzewicielom związku, mimo znacznej liczby ajentów tajnej policji.

Tymczasem zachód rozgorzał rewolucją, która szybko przez Francję, Belgję i południowe Niemcy zdążała ku wschodowi.

Wieść o rewolucji paryskiej doszła do Warszawy 6. sierpnia głównie przez dzienniki i to w formie drobnej wzmianki, traktującej całe zdarzenie ze stanowiska giełdowego, bo notującej przytem upadek francuskich walorów na giełdzie.

Ta wiadomość, choć podana w skromnej dawce, pobudziła zapał i energję związkowych.

Z nadejściem września ruch się jeszcze bardziej wzmógł, zasilony nowym żywiołem, młodzieżą przeważnie akademicką; wtedy stają się członkami związku, Maurycy Mochnacki, Ksawery Bronikowski, Ludwik Nabielak, Seweryn Goszczyński, Franciszek Grzymała i w. in. Młodzież ta bowiem przedtem biorąca czynny udział w walce literackiej klasyków z romantykami, zaczęła się przygotowywać po swym powrocie z wakacji do innej walki — o wolność ojczyzny. — Do kółek więc czysto literackich wciska się teraz propaganda związkowych.

(C. d. n.)

Bronisław Pawłowski.

Z dni szczęścia Warszawy.

Rycina nasza przedstawia wielki pochód demonstracyjny, który odbył się na ulicach Warszawy w dniu 5. listopada b. r. po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego. Po latach czterdziestu czterech pierwszy to był czas wzniesienia się ducha narodowego jawnie i publicznie.

Warszawa w słońcu swobody nawiązała nić tradycji z dawnymi czasy. Te same hasła i napisy na sztandarach, ten sam nastrój tysiącznych tłumów, które wyległy na ulice, co w latach 1861—3. Zdaje się, jak by po długiej zimie znowu zajaśniała wiosna, z tym samym blaskiem.

Nic się w Warszawie za panowania knuta nie zmieniło — ta sama została stolica kraju, wrąca życiem narodowem i miłością Polski, ta sama myśl i czucie tłumów warszawskich.

Bronią i krwią wywalczyła sobie Warszawa swobodę, bronią i krwią utrzyma ją mimo wszelkich stanów wyjątkowych.



WARSZAWA PO OGŁOSZENIU KONSTYTUCJI

MARJA SEGENY.

Na pruskiej ziemi.

(Dokończenie.)

Tymczasem listy od Tomka przychodziły coraz rzadsze i smutniejsze — przebijała się w nich gorycz na swój los i zniechęcenie.

— Żebyś ty matuś wiedziała — pisał — jak wyglądam, rychło mnie stąd wypuszczą. Serce mi się rwie do was i taka mnie często żałość ogarnia, że sobie nijakiej rady dać nie mogę. Źli tu ludzie bardzo, dobrego słowa nie dadzą, choćbyś im jak koń pracował. A ino nasi są w takiej poniewierce u nich. Aż ręka często zaświerzbi, żeby taką pruską bestję rozumu nauczyć.

I rzeczywiście, ciężkie dnie przechodził Tomek na obczyźnie.

Nie ciężyła mu praca nad siły, ani trudy, jakie napotykał, nie obeznany jeszcze z obcym językiem, ale niesprawiedliwe obchodzenie się zwierzchników, ich pogardliwe i bolesne słowa... Widział jednak, że nie wszystkim było tak źle, jak jemu — tak — ale tamci za pan brat z prusakami żyli, pochlebstwami wyższych sobie jednali, a z kolegami ostatni grosz z domu przywieziony przepijali we wstrętnych kawiarniach nocnych. I jego pociągnąć chcieli, ale on zapomnieć nie mógł, że to wróg, co dziś całuje a jutro zdradzi. W pamięci mu tkwiły jeszcze opowiadania dziadka nieboszczyka o krzywdach i krwi przez nich wylanej. Odsuwał się od nich, a żył tylko nadzieją, że ta nędza skończyć się musi, a on niezadługo zobaczy smutne topole rodzinnej wioski...

Ostatni rok jego służby dobiegał nareszcie końca. Z początkiem wiosny zapowiedziane były manewry, mające trwać całe lato, a potem — ku jesieni powrót do swoich! Ucieszył się Tomek, usłyszawszy, że wojsko za dni kilka miasto opuszcza! Duszno mu było między murami, jemu wychowanemu wśród pól i łąk szerokich.

Wyruszyli. W dzień marsz forsowny, noce, choć spędzane najczęściej pod gołem niebem, więcej mu dawały wolności i swobody.

Zapatrzony w iskrzące się gwiazdami niebo, dumał o wiosce rodzinnej, o matce starej i dziewczynie ukochanej.

Od pewnego czasu zauważył Tomek, że wachmistrz, który dawniej wrogo się względem niego zachowywał, zmienił się bardzo dla niego. Tomek podejrzliwie patrzał na tę nową taktykę prusaka, pewny będąc, że pod udaną serdecznością kryje się podstęp.

Niedługo czekał. Raz wieczorem zawezwany został do niego. Poszedł ze złem przeczuciem. Wachmistrz w krótkich, prawie nakazujących słowach dał mu do poznania, że pragnie go ożenić ze swoją siostrą, która na niego szczególniejszą raczyła zwrócić uwagę.

— I cóż ty na to, ty chamie — kończył zuchwale — zbaraniałeś od radości, a no, bo i skąd tobie marzyć było o takiem szczęściu. Parę set marek dla niej także znajdę — weselisko wyprawię. Postaram się także, żebyś nazwisko zmienił, bo to u nas łatwo.

I czekał na jakiś objaw radości, na podziękowanie.

— Trzymaj sobie ją dla takiego, jaki sam jesteś — wybuchnął Tomek ze złością, pod nogi prusakowi splunął i wyszedł.

— Czekaj ty... ty chamie przeklęty — wrzeszczał za nim wachmistrz, pieniąc się ze złości. — Ho! ho! hardyś bratku! ale nie takich my już tu na nitce prowadzili.

I od tego dnia prawdziwa męka zaczęła się dla Tomka. Prusak mścił się na każdym kroku, za najmniejszą niedokładność w służbie karał aresztem o chlebie i wodzie. Tomek schudł, pobladł i tak ze sił spadł — że karabinu w omdlałej ręce utrzymać nie mógł. Raz, gdy już większy ból piersi mu rozpierał, zapragnął ulżyć sobie i wygadać krzywdę przed swoimi. A służył z nim razem Wicek od Kuźmów, z tej samej, co on, wsi: jeszcze z dawnych lat nie bardzo się lubili. Wicek do Nastki się zalecał — przyszło nawet do kłótni, ale tu, pod tem obcem niebem, między wrogimi ludźmi, Tomek zapomniał urazy i radby był ze swoim pogwarzyć o znajomych stronach i wiosce rodzinnej.

Przekradł się wieczorem do namiotu, gdzie spał Wicek.

— A cóżeś ty zapomniał — mruknął ten niechętnie — że tu nie wolno po naszemu gadać? Mnie byś jeszcze chciał ze sobą pociągnąć do zguby. Wachmistrz mnie lubi i kazał zdać sobie, jak który po polsku gadać będzie. „Sztraf" na niego nałoży. Albo mi się to chce łba nadstawiać.

— Ale krzywda nasza — szepnął Tomek — krzywda u nas krzyczy i woła ulitowania.

— Jaka krzywda? Mnie tu nie źle, bo nosa do góry nie zadzieram i prusakiem nie gardzę. Ot! i cała mądrość.

W parę dni później, za jakieś małe przekroczenie posłużbowe, podczas ćwiczeń został ukarany

czternastodniowym aresztem. W ciemnej i małej norze został sam, z myślami i tęsknotą swoją. Gdy go wypuszczono, ledwie duch się w nim plątał, a ostry kaszel piersi mu rozdzierał. Wieczorem, gdy światła pogasły wszystkie, a ciszę przerywał tylko rytmiczny chód żołnierzy na warcie, wyczołgał się Tomek z namiotu i legł na trawie wilgotnej. Noc była ciemna, tylko na niebie błyszczały i migotały gwiazdy. Z pól rozległych szły zapachy mocne. Ziemia cała, umajona barwistem kwieciem, wypoczywała cicho po całodziennym upale.

W zmęczonym umyśle Tomka dziwne myśli kołatać poczęły, a takie osłabienie ciało jego ogarnęło, że byłby oddał kilka lat życia za chwile spokoju i wytchnienia.

A zły duch, nieodstępny towarzysz nieszczęśliwych, szeptał mu do ucha niepokojące słowa.

— A czego ty się tak męczysz? Patrz na drugich — oni lepiej sobie od ciebie radzą. — Nie bądź tak hardym — daleko tem nie dojedziesz a sobie nieszczęście zgotujesz. A cóż ci innego niemiec? taki sam człowiek, jak i ty, tylko, że mądrzejszy. Dobro cię tu czeka i bogactwa, a ty głupi odrzucasz. Słowo powiesz, a odmieni się twoja dola. Wachmistrz paręset marek obiecuje! Ho! ho! taka moc pieniędzy. — A spokój i dostatek do końca życia, czy nic nie znaczy? Brzydka ci dziewczyna, bo brzydka, albo to uroda uratowała kogo od męki? Pluń na wszystko, bo zmarniejesz tylko na tej ziemi, a nikomu nawet pomocnym nie będziesz. Tam — na tej nędznej wsi, twoi w lot zapomną! Nastka innego sobie weźmie a matce starej nie wiele do życia się już należy. Tu dostatek — tam nędza i praca! Tomek leżał bez ruchu, a duszę jego coraz większa niemoc ogarniała.

Wtem, het! gdzieś daleko, zadźwięczała trąbka nocnego stróża. Leciał głos czysty, leciał po rosie, przypadł do stóp smutnie szemrzących brzózek i zginął gdzieś w gąszczach. Zerwał się Tomek, zagrało w nim wspomnienie dawnych, ubiegłych dni!

— O Jezu! — zawołał — o Jezu! Dyć to jak u nas — jak u nas!

I ujrzał nagle cichą wioskę wśród gęstych, zielonych sadów i chatkę własną nad rzeką i smukłą wieżyczkę białego kościółka, matkę staruszkę i dziewczynę ukochaną, stojącą na wzgórku pod krzyżem.

Za głowę się ujął i upadł z jękiem na ziemię. Ale nie była to już dawna, gotowa na wszystko, rozpacz — tylko boleść cicha, żal, że mógł choćby na jedną chwilę o tych wszystkich ukochaniach zapomnieć. I taki go wstyd objął, że choć noc ciemna była, oczy łzami gorącemi zalane uporczywie zakrywał. Ocknął się po długiej chwili.

— O Panienko Najświętsza — szeptał — dziękuję ci też za opamiętanie. A cóżem ja też chciał uczynić? Wytrwania daj lub śmierć zaraz zeszlij — ale hańby nie dopuść.

I odtąd dziwny spokój wstąpił w niego. Pełnił służbę z sumiennością, wzbudzającą podziw w zwierzchnikach.

Nadeszła jesień. We wsi szeptali już o powrocie młodych z wojska. Nastka co wieczór biegła pod krzyż na wzgórek, wpatrując się w drogę, wiodącą do miasteczka. Aż jednego dnia dano znać do chaty starej Jagi, że Wicek, towarzysz Tomka, powrócił do zagrody.

— A Tomek? — szepnęła stara trwożliwie.

— Powróci, matuś, powróci — pocieszała Nastka — pewno się w miasteczku zatrzymał. Pobiegnę do Kuźmów, to i czegoś się dowiem.

Powróciła po chwili smutna i zamyślona.

— Dziś nie przyjdzie — odpowiedziała na pytający wzrok matki — może jutro. Wicek mówi, że go zatrzymali jeszcze.

Nie wiedziała prawdy, że Tomek od tygodnia leży w gorączce, bo Wicek choć nieprzyjacielem był Tomka, nie miał serca dziewczynie tej wiadomości udzielić.

Minął tydzień a Tomek nie wracał.

— Ożenił się może z prusaczką — myślała Nastka, pięści zaciskając z rozpaczą — a ja tu oczy i duszę wypłakuję za nim. — Czekała jednak cierpliwie, tłumiąc przed Jagą dręczące ją podejrzenie. W niedzielę, choć deszcz lał ulewny a po ugorach wiatr zimny ze świstem przebiegał — wybrała się do kościoła. Pierwszy raz modliła się z roztargnieniem a oczy, pełne bolesnego wyrzutu, wznosiła na obraz Matki Chrystusa.

— O! Najświętsza Panienko — szeptała — trzy lata minęły, inni powrócili, a jego nie widać. Zmiłuj się Ty, zmiłuj! Nie dopuść hańby!

Na drodze, gdy powracała, wręczył jej pisarz gminny wezwanie, by Jaga lub ktokolwiek w jej zastępstwie zgłosił się do wójta po jakoweś papiery, zdaleka nadeszłe. Ścisnęło się trwogą serce Nastki.

— Pewnikiem od Tomka — szepnęła i co tchu do wsi biegła. Wpadła zdyszana do chaty.

— Matuś — jakoweś pismo jest do was w kancelarji. Chustkę grubą wezmę i polecę.

— A możeby lepiej jutro rankiem, Nastuś — do kancelarji szmat drogi, a tu dnia zaledwie ze dwie godziny będzie. Słota, ani psa wygnać,

— Dziś pójdę — nie brońcie matuś — prosiła. Może od Tomka jakie wieści.

— A idźże już, kiedy taka twoja wola. A zjedzże choć tej zacierki gorącej, com dla siebie zgotowała. Przemarzłaś ze wszystkiem, dziewczyno. —

Deszcz zwolniał. Po niebie wlokły się ciężkie, ołowiane chmury. Wiatr dął silny, a rozmiękła ziemia utrudniała pośpiech. Nastka jednak biegła prędko. Co znaczy dla niej deszcz, noc lub zimno. Niepokój ją pędził wielki i ciekawość.

W kancelarji długo czekać musiała, nim na nią kolej nadeszła.

— A toś ty, od Jagi — odezwał się wójt życzliwie. — Nie wesołe poniesiesz jej wieści. Przyszło z Prus jakieś pismo, jakoby Tomek zmarł tam w zeszłym tygodniu. Ha, trudno! — wszyscyśmy śmiertelni. Na, masz papiery, a nie zgub. A tobie co, dziewucho? — zawołał, widząc, że Nastka nie rusza się, tylko raz po raz powietrze chwyta ustami.

Oprzytomniała Nastka, porwała papier i z izby jak wicher wybiegła. Biegła przed siebie; ścieżek nie ruszała i przez ściernia, przez ugory, przez pola zorane, rozmiękłe biegła, byle prędzej, prędzej, jakby w tym biegu szalonym ból swój i cierpienie na wiatr rzucić chciała.

Dobiegła do wzgórza, — ramię krzyża objęła i na wilgotną upadła ziemię.

— O Jezu! — Jezu! — jęczała — zabrałeś mi go! Zabrałeś! Zabrałeś, a nas sierotami zostawiasz. Wolę ci ja tę boleść przenieść, niżby miał z prusaczką się zbratać. Zamordowali, udręczyli go te psubraty niemieckie. O Jezu! Jezu! nie darujże też krzywdy naszej. — Zerwała się z klęczek i biegła dalej.

Noc zapadła ciemna. Wiatr przycichł. Cisza zaległa pola. Gdzieś, w odległej chałupie na skraju wsi, pies zawył przeciągle. Wzdrygnęła się Nastka i przeżegnała nabożnie.

— Wieczne odpoczywanie daj Ty mu Jezu — szepnęła sinemi wargami.

Dobiegła do chaty. Bez słowa, bez ruchu, stała chwilę na progu. Palił się ogień na kominku i oświecał białe ściany izby, świętymi przystrojone obrazami, pod którymi czerwonem światłem tliła się lampka — i starą kobietę, drzemiącą na ławie, z różańcem w ręku.

— A czego ty Nastuś stanęła, kiejbyś w ziemie wrosła — zapytała sennym głosem i nagle odgadując wszystko — Nastuś! la Boga! pomarł ci Tomek nasz! pomarł! Oj! dolo nasza, dolo! — za głowę się chwyciła, jęcząc cicho — żałośnie.

I w ciszy, co izbę zaległa, słychać było tylko przytłumiony płacz starej i ciężki oddech dziewczyny.

Nagle Nastka do nóg starej przypadła.

— A nie zawodźcie tak, matuś — prosiła — nie zawodźcie! I mnie ból wielki piersi rozpiera, ale nie dam się pokonać żalowi. Pracować będę dalej z wami, nie opuszczę was aż do śmierci, boście wy matka Tomkowa. Pomarł, ale naszym, ino naszym ci był do ostatka. Pismo ostatnie mam od niego.

I znowu w zupełnej ciszy, co izbę zaległa, słychać było szept pacierzy i pryskanie lampki, tlącej pod świętymi obrazami.

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Na sobie samym i na towarzyszach w czasie różnych ekspedycji zauważałem był bardzo dokładnie, że gdy tylko zapasy żywności podczas naszych wędrówek wyczerpywać się zaczynały, a wskutek tego skazywaliśmy siebie na połowę racji zwyczajnej, miewaliśmy regularnie marzenia senne, malujące obficie zastawione stoły potrawami najrozmaitszemi. Dosyć było bez posiłku wieczornego położyć się spać, ażeby marzyć o sutych wieczerzach. Nieugaszone pragnienie było też pobudką do marzeń sennych o wodach najrozmaitszych. Tak n. p. gdyśmy na Kamczatce próbowali odszukać przejazdu ze wschodniej strony dokoła wulkanu „kluszewskiego" — natrafiliśmy na leśne gąszcze bezwodne, wśród których pozostawaliśmy trzy i pół doby bez kropli wody.

Jakkolwiek ta niezwykła i niespodziewana okoliczność wpłynęła w różny bardzo sposób na nasze usposobienie, wywarła jednak ona na wszystkich nas, cośmy brali udział w tej ekspedycji, jednostajny wpływ odnośnie do marzeń sennych. Najwięcej cierpiał z powodu braku wody służący nasz, dwudziestoletni chłopak Mikołaj, mieszczanin pietropawłowski. W nocy, gdyśmy się spać układali w namiocie, snu normalnego nie mieliśmy wcale, lecz wśród półsnu gorączkowego marzenia przenosiły nas w okolice rzek, ruczajów etc. Kamczadal, który był naszym towarzyszem, marzył regularnie w nocy o najbliższej drodze do rzeki Kamczatki i opowiadał nam z rana widzenia swoje senne. Mikołajowi marzyły się studnie, po trzech dobach

spędzonych wśród lasów, wyrosłych na popieliskach wulkanicznych, Mikołaj wpadł w stan wpół sennego obłąkania, wybiegł w nocy z namiotu i zaczął grzebać rękami w popielistym gruncie; gdyśmy go rozbudzili i przyprowadzili do przytomności, oświadczył, że miał senne marzenie, podczas którego jakiś głos mu rozkazał kopać ziemię przed wejściem do namiotu, a wytryśnie źródło obfite.

Gdyśmy nareszcie na czwarty dzień wędrówki uciążliwej dotarli do pierwszej rzeczki na tej drodze, a następnie gdyśmy przybyli do wsi „kluszewskiej“, opuściły nas naraz senne marzenia o wodzie.

Jeden i ten sam rodzaj marzeń, wywoływany bywa rozmaitemi drogami, trafiającemi do centrów naszych mózgowych. Tak np. pewnego razu w zimie, zaskoczeni przez silną burzę, szukaliśmy we trzech schronienia w „fanzie“ chińskiej, na wybrzeżu zatoki „Striełok“ położonej, tutaj układliśmy się do snu na „narach“, ogrzewanych od spodu i zapadliśmy w sen głęboki. Późno w nocy przybyli do tejże fanzy wędrowni, zziębnięci Chińczycy, których przyjścia nie słyszeliśmy wcale. Nowoprzybyli chcąc się ogrzać, rozniecili silny ogień na palenisku i wskutek tego nary, na których znajdowało się nasze posłanie, ogrzały się daleko po za granicę zwykłego ciepła. Poczuwszy gorąco pod sobą, wszyscy trzej jakeśmy spali, przebudziliśmy się nagle, marząc o pożarze; szczegóły marzeń były u każdego z nas inne, ale treść główna „pożar“ była wspólna snom naszym. W kilka tygodni po tym wypadku miałem znowu marzenie senne o pożarze, ale powodem do niego była łuna, bijąca od ogniska, które rozłożyli „Manzowie“ (Chińscy wieśniacy), nocujący na wybrzeżu morskiem, naprzeciw naszych okien, zabezpieczając się w ten sposób od nocnego na nich napadu tygrysa. Tu widzimy, że bodźcem do marzeń o pożarze był zmysł wzroku. Znam znowu wypadek, który miał miejsce z kolegą moim na Syberji Stanisławem Kietlińskim, gdzie podnietą do marzeń sennych o pożarze był zapach zgorzelizny. Z tych przykładów przytoczonych przekonać się możemy, że dróg do wywołania wizji sennych, jednej i tej samej kategorji, mamy tyle, ile mamy zmysłów, stąd trudno jest oznaczyć dla każdego marzenia najbliższą jego przyczynę; w każdym razie, rzeczą jest pewną, że każdorazowy kierunek naszych marzeń zależny jest przeważnie od bodźców zewnętrznych, zaś szereg kojarzących się szczegółów zależny jest od zakresu wiedzy i inteligencji osoby marzącej. Aleut, który nigdy drzew nie widział, nie ujrzy w marzeniach swoich sennych, lasów i parków. Botanik znowu w swoich marzeniach będzie śnił o rozmaitych gatunkach roślin drzewnych.

(C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Krywult Walerjan. Przygotowanie do egzaminu dojrzałości z historji. Podręcznik dla abiturjentów szkół średnich, wraz z kluczem do kombinowania zagadnień historycznych. Kraków. Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego, 1905. Książkę p. K. uważamy za bardzo potrzebną i pożyteczną, z wielu powodów. Kto wie, ile czasu i trudów wymaga od ucznia przerobienie do egzaminu dojrzałości szkolnego podręcznika historji prof. Zakrzewskiego, temu stanie się jasną odrazu zasługa, oddana młodzieży przez p. K. Przedewszystkiem książka jego zaleca się bardzo zwięzłym i jasnym wykładem przedmiotu, a nadto przejrzystem ugrupowaniem materji. To zaś ułatwi ogromnie uczniom opanowanie całokształtu dziejów powszechnych, o którym mają niewyraźne tylko (skutkiem przeładowania mniej ważnymi szczegółami) wyobrażenie, wyniesione z nauki szkolnej. Inne podręczniki historji dla abiturjentów, jakich dwa wyszło w ostatnich latach, nie mogą żadną miarą iść o lepsze z dziełem p. K. już nie tylko pod względem wymienionych zalet, ale choćby co do doboru faktów, koniecznych w takiem repetitorjum.

ZAPISKI.

Doroczna wystawa „Sztuki“. Po tak zwanej „Wystawie Pięciu“ (Gottlieba, Hoffmana, Wojtkiewicza, Rembowskiego i Jakimowicza), urządziło Tow. „Sztuka“ w Krakowie dziewiątą doroczną wystawę dzieł swoich członków. Są to przeważnie obrazy z ostatniej wystawy monachijskiej, o których krytyka zagraniczna, jak i tutejsza kilkakrotnie pisała. Oto mamy cały szereg prac dobrze znanych malarzy, jako też i młodych talentów. Na ogół wziąwszy, wystawa robi wrażenie dodatnie a mnogość wystawionych prac jest spora.

Więc Axentowicza studja portretowe, Fałata akwarelle, Mehoffera szkice pejsażowe i portrety, Stanisławskiego pejsaże, Weissa studja portretowe; Wyczółkowskiego 15 pastelowych prac z Zakopanego, Wyspiańskiego ostatnie dekoracyjne prace i dwie pastele z dawnych lat a to kościół P. Marji i „Castitas“ kompozycja portretowa — dalej prace: Boznańskiej, Czajkowskiego, Filipkiewicza, Frycza projekty dekoracji z nalepianych papierków barwnych, Kamockiego, Rozenbluma, Sichulskiego, Szreniawy i Szczyglińskiego. Rzeźbę reprezentują prace: Laszczki, Szczepkowskiego i Szymanowskiego. *C.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.